ROK 1.

№ 45.

WARSZAWA.

D. 29 Październ. / 10 Listopada 1866.



PISMO NIEDZIELNE
DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

W WARSZAWIE:	NA PROWINCYI W KRÓLESTWIE	W CESARSTWIE:
Rocznie . . rs. 1 k. 80 Złp. 12.	Rocznie . . rs. 2 k. 44 Złp. 16 g. 8.	Rocznie z kopertą rs. 4 k. 44 Złp. 29 g. 18.
Półrocznie „ „ 90 Złp. 6.	Półrocznie „ 1 „ 22 Złp. 8 „ 4.	Rocznie bez koperty rs. 2 k. 22 Złp. 14 g. 24.
Kwartalnie „ „ 45 Złp. 3.	Kwartalnie „ „ 61 Złp. 4 „ 2.	Półrocznie, połowa tegoż.

Prenumerować można **Zorzę**: w Warszawie w Redakcyi Nr 1582 lit. D. ulica Aleje Jerozolimskie, w Drukarni Ig. Krokoszyńskiego p. ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 388, i we wszystkich kantorach Gazet; a na prowincyi w Królestwie po Stacyach pocztowych.

PRZEMIANA.

HISTORYA RODZINY NIEDBALSKICH,

powzięta z rzeczywistych przygód społecznych.

przez

F. S. Dmochowskiego.

Żona uczciwa, ozdoba mężowi
I najpewniejsza podpora domowi;
Na niéj rząd wszystek, swego męża ona
Głowy korona.
Jan Kochanowski.

CZĘŚĆ I.

I.

Już z samego nazwiska téj rodziny domyślać się można jéj usposobienia i trybu życia. Jednakże zapewniam was, żem go sobie nie wymyślił, jak to bywało w dawnych powieściach i komedyach, w których, autor prowadzając Cnotliwskich, Poczciwskich, Trzpiotalskich, Rozrzutnickich, już nam z góry określa ich przymioty i wady.

Niedbalscy byli rodziną miejską, od lat dawnych osiadłą w pewnem miasteczku naszem. Bez wątpienia przydomek ten musiano ich naddziadowi nadać, z powodu jego gnuśności i obojętności o własne dobro i zapewne po prostu zwano go Niedbalcem. Ów mieszczanin nie zważał na to przezwisko; synowie od lat dziecinnych nazwyczaili się do niego, z czasem przybrali zakończenie *ski*, a z Niedbalców przezwali się Niedbalskiemi i pod tym to nazwiskiem, znani już od czterech pokoleń, występują w naszéj powiastce.

W któremże to miasteczku mieszkała ta rodzina? może się kto zapyta. Oto w Osmolinie w gubernii Warszawskiéj. Czy znacie Osmolin? Zapewne że nie: bo zkądże doszłoby do waszych uszu nazwisko miasteczka, które nie odznacza się ani przemysłem, ani handlem, ani liczbą mieszkańców, ani też żadną pamiątką historyczną? Jest to po prostu osada zwana miastem, dla tego że tam sześć razy do roku odbywają się jarmarki na konie i bydło i że nosząc tytuł miasta zostaje pod zarządem burmistrza, nie zaś wójta gminy. Dość obszerny rynek, nie brukowany, będący targowiskiem jarmarczném, otoczony w czworobok drewnianemi domami; karczma zajezdna, do któréj tylko podczas jarmarku zajeżdżają, porządny kościół na ustroniu stojący; stodoły, szopy i chlewy w tyle domów umieszczone i dowodzące, że każdy mieszczanin jest rolnikiem; dwie ulice, z których jedną wjeżdża się a drugą wyjeżdża z rynku: oto i wszystko coby o Osmolinie powiedzeć można. Z resztą, żadnéj fabryki, żadnego warsztatu nie dopatrzysz; nie wiem nawet czyby o krawca, szewca, bednarza i kowala dopytać się można: a jednak to miasteczko leży na drodze pomiędzy Płockiem a Łowiczem, to jest między miastem gubernialnem około 12000 mieszkańców liczącém, a ważnem ogniskiem handlu i zbiegiem dwóch dróg żelaznych z północo-zachodu i z południa-zachodu. Ma Osmolin rodzoną siostrę Kiernozię, o milę tylko odległą, o której ktoś powiedział, że przed każdym domem tego miasta jest kościół, czyli że kilkanaście domków one składających zebrały się przy kościele. Lecz Kiernozia, zwykle jako niewiasta, jest ruchliwszą i zabieglejszą od Osmolina, bo ma przynajmniéj jaką taką oberżę, piwo bawarskie i cygara. Ale dajmy pokój jeografii, a zajmijmy się rodziną Niedbalskich.

II.

W Osmolinie więc, ktoryby słuszniéj Niedbalicami nazwać można, mieszkała od niepamiętnych czasów rodzina Niedbalskich. Domek jéj stał na samym końcu miasta, zdala od traktu, a nawet i od bocznej drogi, nieco odzielony od gromadki domów składających miasteczko, tak, że można go było uważać za oddzielną osadę.

Jakże to było wygodnie i przyjemnie dla tej rodziny! Nikt do niéj nie zaglądał, chyba, ten kto miał szczególny interes, a takich trzebaby szukać ze świécą; mogła więc żyć jak jéj się podobało i nie narażać się na ludzkie ogadowiska i przygany.

Tryb życia Niedbalskich już od pradziadów zgadzał się z przydomkiem pierwotnie im przez szyderstwo nadanym, a który jak to widzicie, zamienił się w rodowe nazwisko. Nie dbali o polepszenie uprawy gruntów, o porządek i ozdobę domu, żyli z dnia na dzień nie myśląc o przyszłości. I jakże się stało, że jeszcze z torbą nie wyszli, że nie musieli zmarnować puścizny swojéj? Oto dla tego, że nie mieli nałogu pijaństwa i marnotrawstwa. Mało, albo prawie nic nie mieli przychodu, ale też prócz podatków prawie na nic nie wydawali. Wpadł grosz do kieszeni za jaki korczyk zboża, albo za wieprzaka, to pan Marcin Niedbalski nie żałował sobie kwarty piwa, kieliszka wódki, bułki pszennéj i kawałka wołowiny; nie było grosza, to przez całe tygodnie obywał się kartoflami i grochem. Zabudowania stare i z rdzennego drzewa, a podobno z modrzewiowego, stały od lat dwóchset: a ponieważ Marcin Niedbalski pamiętał o przestrodze, którą usłyszał od ojca swego, ten od dziada, a tamten od pradziada i tak w górę aż do piątego pokolenia, przeto utrzymywał się jako tako i do nędzy nie przyszedł. „Bartoszu, — po-

wiedział niegdyś prapradziad ojca Marcinowego, do swego syna,—poszyj dach jak się obedrze, bo pogniją krokwie i belki, a na zakupienie innych nie ma grosza i ty go także na te ciężkie czasy mieć nie będziesz. Bartoszu, nie żałuj paszy zwierzęciu, boć to jest stworzenie boskie i pracuje dla ciebie; pamiętaj że jak zdechnie, a nie przychowasz innego, to także nie będziesz miał go za co kupić. Bartoszu siéj i zbieraj, jak nasi pradziadowie czynili, powiedział ten sam mędrzec, jedyny w téj rodzinie, jaki się w ciągu sześciu pokoleń nadarzył, a mieć będziesz chleb przy łasce Bożéj!“

Dwie pierwsze przestrogi były bardzo pożyteczne; o trzeciéj możnaby wiele powiedzieć, ale o tém potèm. I czyliż one były dostateczne? Czy w życiu człowieka i w jego stosunkach nie znajdzie się mnóstwo wypadków, przy których nie można siedzieć nieruchomo, na jedném miejscu, poprzestawać na starych zwyczajach, ale trzeba pracować i zabiegać? Zobaczymy to w dalszym ciągu tego opowiadania.

Aż do czasu Marcina Niedbalskiego, który, dzięki Bogu, jeszcze dotąd żyje, nie doznała ta rodzina ciężkich strat i nie miała wielkich kłopotów. Rodzeństwo nigdy nie było liczne; syn i córka, albo też syn jedynak był dziedzicem téj osady. Córkę, zazwyczaj wyposażał ojciec krową, jałówką, trzema lub czterema sztukami nierogacizny, i parą set złotémi, na co funduszu dostarczało wiano młodéj synowéj, synowi zaś przeznaczał całe gospodarstwo.

III.

Terazniejszy posiadacz Niedbalewizny, (tak bowiem tę osadę nazywano w sąsiedztwie), miał lat dwadzieścia i pięć, kiedy postradał rodziców. Nie był jedynakiem, bo miał trzy siostry, które podług obowiązującego prawa, należały do równego działu.

Dobroduszność i prostota były cechą ich rodową, siostry przeto nie pomyślały o rozłączeniu się z bratem. Kawalerowie nie trafiali się przy tak ustronnym i samotnym trybie życia; siedzieli więc wszyscy czworo w gromadzie i żyli ode-dnia do dnia. Byli to ludzie dobrzy, w pospolitem znaczeniu tego wyrazu, to jest, że nikomu nic złego nie uczynili; chcieliby nawet dopomagać i świadczyć, lecz ociężałość w nich zakorzeniona przeszkadzała najlepszym zamiarom. Łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądał dom, jakie było gospodarstwo Niedbalskich. Więcéj jak dwie włóki roli i trzy morgi łąki, w tak żyznéj ziemi i tak blisko cukrowni, mogłyby przynosić znaczny dochód zabiegłemu gospodarzowi. Zboże, buraki, kartofle, przychówek, wszystko to łatwo i korzystnie mogliby spieniężyć: a taki folwarczek, którego właściciel sam jest bezpośrednim dozorcą swojego dobra, wspólnie z czeladką pracuje nie potrzebuje wystawności w sprzętach i ubraniu, przyniesie mu tyleż, a może i więcéj czystego grosza, co wioska o dwudziestu włókach szlachcicowi, który żyje dawnym trybem i wyręcza się zastępcami.

Nie mniemajcie atoli, że pan Marcin nie miał w sercu ani źdźbła uczucia, że tak był obojętny na wszystko, jak na własne dobro. Myślał on kiedy nie kiedy, że już czas postarać się o żonę; co więcéj, już od lat kilku miał na oku jedną z dziewcząt sąsiednich która najlepiéj przypadła mu do serca. Ale to zamężcie postępowało tak żółwim krokiem, tak mu ciężko było zebrać się na stanowcze postanowienie, tak trudno wybrać się w konkury, że rok za rokiem upływał, a Marcin w trzy lata po śmierci rodziców, był jeszcze kawalerem. Już dochodził do lat trzydziestu, a jak sobie wspomniał że trze-

ba dom jako tako ogarnąć, pomyśleć o siostrach, wydać je za mąż, wyposażyć, boć trudno, żeby siedziały przy bratowéj: to aż mu w głowie trzeszczało, plątały się myśli, siadał znękany na stołku o trzech nogach, przypartym do ściany i mówił do siebie. ,, Jakoś to będzie za łaską Bożą, wszystko to uszykuje się, zrobi się" i znowu przez dwa lub trzy miesiące nie myślał o niczem i nic nie robił. Ale byli tacy, którzy pomyśleli za niego.

IV.

Wieś Saniki graniczy z Osmolinem. Jest tam od lat kilkunastu cukrownia, jedna z najznaczniejszych w kraju naszym. Wójt gminy téj obszernéj posiadłości miał się nie źle; wynagrodzenie roczne i osada jednowłókowa, którą posiadał na własność, wystarczały na skromne i przyzwoite utrzymanie domu. Nazywał się Antoni Skalski; jego dziad i ojciec mieszkali w Sanikach, i znali się z rodzicami i dziadkami Marcina Niedbalskiego. Ale pan Wójt miał także o czem myśleć: o czterech synach i tyleż córkach. Z synami łatwiéj sobie poradził; dwóch umieścił w cukrowni, jednego oddał do handlu do Warszawy, czwartego zostawił przy sobie do pomocy w gospodarstwie. Z córkami cięższa była sprawa. Najstarsza poszła za mąż, a trzy już dorosłe dziewczyny siedziały w domu. W prawdzie nie próżnowały; w lecie praca w ogrodzie i w polu; krawieczczyzna, drobne robótki w jesieni i w porze zimowéj, dostarczały im zajęcia i funduszu na ubranie.

Prawie wszystkie żony i córki majstrów i podmajstrów w cukrowni i oficyalistów, nosiły suknie, kołnierzyk i czepeczki roboty panien Skalskich; a przytem te dziewczyny otrzymały dobre elementarne początki nauk, co najważniejsza, lubiły w chwilach wolnych, to jest w dniach świątecznych po nabożeństwie, przeczytać ciekawą moralną książkę, o którą ich Ojciec zawsze się dla nich postarał i na to nie skąpił kilkunastu złotych na rok.

Druga z rzędu, Józefa, szczególniéj odznaczała się między niemi. Pracowitość zdrowy rozsądek, a przytém rzadka w mężczyznie, a rzadsza jeszcze w kobiecie wytrwałość i cierpliwość w zamierzonem przedsięwzięciu, oto były jej przymioty. Nie przesadzę jeżeli dodam, że do tego wszystkiego łączyła wyrozumiałość i łagodność, która jednakże nie zamieniała się w słabość charakteru. Mimo tego, nie trafiało się dla niéj zamężcie, bo i ona też pierwszego lepszego wziąść nie chciała i tak doszła do 25 roku życia. Od lat dziecinnych znała się z naszym panem Marcinem. Kiedy liczyła lat dziesięć, a Marcin był czternastoletnim chłopakiem i w odwiedziny przyjeżdżał z ojcem do Sanik, nieraz wyrzucała mu jego zaniedbanie w ubraniu, nieraz drobną rączką uczesała jego rozczochrane włosy. Lubiła go za dobre serce: bo widziała, że oddał żebrakowi albo wynędzniałemu dziecku, ostatni swój kawałek chleba, że nie pozwolił mocniejszemu przewodzić nad słabszym i z téj przyczyny dostał siniaka i guza. Raz nawet w jéj obecności wyrwał prawie z pod kopyt rozpędzonych koni małą dziecinę, którą byłyby nieochybnie stratowały. Lecz gdy oboje dorośli, odwiedziny Marcina stały się coraz to rzadsze; im bardziéj gnuśniał, tém bardziéj zaniedbywał się we wszystkiem, tak, iż nareszcie ani on, ani jego trzy siostry nie miały w co się ubrać porządnie i pojechać w gościnę. Nie widzieli się więc od lat trzech, ale i on i ona pamiętali o swoich młodocianych latach.

V.

Była w Osmolinie żona miejscowego organisty, jejmość pani Maciejowa Dudzińska. Jéj ulubioném zatrudnieniem, a można powiedziéć rzemiosłem, było swatanie dziewcząt i chłopców, kojarzenie małżeństw. „Niech się ludzie żenią na chwałę Bożą i na pożytek własny, mawiała. A przytem nieźle wychodziła na owém swataniu, bo i podarunek i poczesne jéj nie mijało, a mężowi przy każdym ślubie także wpadło coś w rękę. Już ona od lat ośmiu miała na oku naszego pana Marcina Niedbalskiego, zaglądała od czasu do czasu do Niedbalewizny, napomykała, że już mu czas wielki przystąpić do świętego Sakramentu małżeństwa, nastręczała to tę, to ową panienkę, ale to wszystko było jakby groch na ścianę rzucony.

„Dobrze mówicie, moja Pani Dudzińska, odpowiadał Marcin, zobaczę, namyślę się, wybiorę się do rodziców téj dziewczyny; niech no tylko siostry się trochę ogarną i w domu zrobimy porządek.“ A tymczasem znowu mija dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, w domu szerzył się nieporządek skutkiem odwiecznego niedbalstwa, a pan Marcin zaczynał być starzejącym się kawalerem. Aż jéj nareszcie zabrakło cierpliwości.

„Cóżto! zawołała, ja, com już dziewięćdziesiąt ośm małżeństw skojarzyła, nie skojarzę dziewięćdziesiątego dziewiątego i do setki nie dojdę! Ja nie ożenię tego niezdarę, tego niedbalca? Nie, nie! muszę na swojém postawić, chyba że nie będę organiściną Osmolińską! Tak mówiąc sama do siebie, rozdąsana podreptała do Sanik. Przez drogę ochłonęła z gniewu i ułożyła sobie, jak ma się zabrać do tego interesu.

Po prostu, starym obyczajem, poszła do pani Wójtowéj Skalskiéj a po zwyczajném pozdrowieniu chrześcijańskiem, rzekła:

—Wielmożna pani Wójtowo, nie gniewajcie się na mnie, że ja tu przychodzę wdawać się w nie swoje sprawy. Tak Wielmożnemu państwu dobrze życzę, że nie mogę zamilczyć tego, co mam na myśli. Biedna jestem i stara kobieta; ależ i biedny człowiek może się przydać bogatemu, jak owa mysz w bajce, co lwu dopomogła!

— Dajcie pokój bajkom, moja Dudzińska, odpowiedziała Wójtowa, a powiedźcie po prostu, za czém i z czém tu przyszliście.

—Oto słyszałam, że panna Józefa ma kawalera, który myśli prosić o jéj rękę.

— Jakiego? ja o tém nie wiem, ani moja córka; chyba wam się przyśniło.

— Oj nie przyśniło! nie przyśniło! młody, poczciwy z duszą i z kościami dobry człowiek, chce prosić o rękę panny Józefy.

— Już to z was każdy jest najlepszy, aby tylko był kawalerem; znam ja wasze rzemiosło; ale zresztą, któż to taki? gadajcie.

Pan Marcin Niedbalski z Niedbalewizny, rzekła nareszcie organiścina: ale widać było, że jéj to nazwisko z ust wyjść nie chciało i pragnęła poprzedzić je wyliczeniem zalet konkurenta.

— Co? ten niedołęga! ten próżniak! zawołała pani Skalska: co też wam przyszło do głowy? piękny by los miała moja córka z takim mężem!

— Widzę, że go nie znacie, mościa pani Wójtowo: odpowiedziała organiścina nadrabiając miną. Nie pijak, nie kłótnik, nie karciarz, łagodny, cichy, jak baranek. Żona będzie u niego panią wszystkiego, zrobi z nim, co zechce, dom ogarnie, gospodarstwo poprawi, napędzi do pracy i do porządku. A przytem, wszakże państwo wiecie, piękny to kawał ziemi, więcéj jak dwie włóki, które można od skiby do skiby zasiać pszenicą, zasadzić burakami, a nawet cebulą.

Te wyrazy uczyniły niejakie wrażenie na pani Skalskiej i rzekła nieco łagodniéj.

— Ale skądże wiecie, że on myśli o mojéj córce?

— Bo mi to sam nieraz powiedział, ale on taki nieśmiały, tak odwykł od ludzi, że mu ciężko wybrać się z domu. Jeżeli więc pani pozwoli, to ja go tutaj przypędzę.

— Dajcie jeszcze pokój, moja kobieto, muszę się nad tem dobrze namyślić, naradzić się i z córką i z mężem: a przytem wątpię, aby go Józia chciała. Nie ma on łaski u dziewcząt, kiedy dochodzi do lat trzydziestu, a jeszcze jest kawalerem.

— Długo byłoby o tém gadać, Wielmożna pani wójtowo, odpowiedziała Dudzińska. Mnie się zdaje, że on dla tego nie ożenił się, bo zawsze o pannie Józefie myślał; wieleż on razy wspomniał o niéj i wybierał się do Sanik, do W-nych państwa, ale zawsze wybrać się nie mógł. Lat pięć temu, pamiętam...

— Dosyć już tego, moja jejmość; jak się wówczas nie wybrał, tak się zapewne i teraz nie wybierze. Pójdźcie do kuchni, zaraz tam pójdę i każę wam dać podwieczorek, a tu macie złotóweczkę za wasze dobre chęci. Tylko trzymajcie język za zębami, a nie plećcie przed ludźmi o tém, z czego zapewne nic nie będzie.

— Albożmnie Wielmożna pani nie zna? Czyliżbym skojarzyła dziewięćdziesiąt ośm małżeństw, gdybym nie umiała milczéć. Ja dopiero wtedy rozpowiadam o ślubie, kiedy narzeczeni już spadną z ambony na zapowiedziach.

(dal. ciąg nast.

CO TEŻ SŁYCHAĆ W WARSZAWIE?

(Opowiadanie Rzemieślnika).

Ustanie cholery.—Krzyki na cechy; coby zrobić należało dla ich polepszenia?—Wystawa wyrobów Zjednoczonych Stolarzy w Warszawie i ustawa tego stowarzyszenia.

Dzięki Bogu! cholera już z Warszawy poszła na bory, lasy; ale wyrwała nam z koła ludności tutejszéj w ciągu czterech miesięcy prawie 700 osób; lecz na prowincyi, gdzie już powoli ustaje, liczba ofiar podobno do 14,000 dochodzi. Widać, przymrozki i wiatry ostre, oczyściwszy powietrze, wypędzają od nas tę kapryśną, niedocieczoną jeszcze w swych przyczynach chorobę. Oby dał Bóg, aby w następnych latach nie zawitała znowu!

Śród kilkunastu pism, wychodzących w Warszawie, niektóre zajęły się gorąco polepszeniem stanu rzemieślniczego u nas; nic to złego, boć wołać o dobre nie zawadzi nigdy; główną jednak pobudką do tego zajęcia się jest stan obecny cechów naszych. Stan ten rzeczywiście nie bardzo jest pochlebny dla nas, boć wiadomo dowodnie, że w niektórych rzemiosłach dzieją się wielkie nadużycia, jakieś przesądy i narowy, które czerpią źródło w braku miłości bliźniego, w zbytniem zamiłowaniu trunków i pohulanek. Żadne prawo, żadne przepisy nie wymagają tego, by z czeladnika wstępującego w poczet majstrów zciągano więcej wkupnego nad obowiązkowe 9 rubli cechowi należne, a przepisane w Ustawie dla Rzemieślników, wydanéj za Namiestnika Księcia Zajączka w 1816 roku. Tam nigdzie nie stoi, żeby uczta czyli poczęstunek czeladnika, wyzwalającego się na majstra, kilkaset złotych kosztować miała, lecz owszem od biednych tylko rsr. 4 kp. 50 kazano pobierać. Ale takie i tym podobne nadużycia, trafiające się u nas w niektórych rzemiosłach, nie są jeszcze dowodem, aby przeciwko zniesieniu cechów występować; bo dopóki nic lepszego na ich miejscu nie ma, to dopóty rujnować ich nie można; nadużycia tylko, zbytnie wymagania raz na zawsze ustać w nich powinny, czyli że ścisłe stosowanie się do artykułów powyżéj wzmiankowanéj ustawy i poprawa moralna cechów, albo bractw, czy stowarzyszeń,

jak chcecie! powinny być przedsięwzięte stanowczo przez Urzędy starszych. Że we Francyi i w niektórych krajach niemieckich cechów już nie ma, tylko wolna praca, to nic jeszcze nie dowodzi: bo tam przemysł i rękodzieła w innych są niż u nas warunkach; zresztą tam są pozakładane osobne szkoły i zakłady dla różnych rzemiosł. Poprzednio, opisałem w 17 numerze „Zorzy“ pomysł założenia i u nas w sposób spółkowy, Zakładu Krawieckiego, któryby się składał z oddziału nauk odpowiednich, z oddziału kroju, szycia i t. p. Pomysł ten wypracował p. Zygardłowicz b. Starszy w Zgromadzeniu krawców tutejszych.

Przy téj sposobności, kiedy potrąciłem o stowarzyszenia rzemieślnicze, może nie od rzeczy będzie przytoczyć choć w treści ustawę o Wystawie wyrobów zjednoczonych stolarzy, istniejącéj już tu lat cztery, a to dla pokazania, jak to dobrze wpływa i na pracę i na korzyść kupujących, usilna staranność pewnéj liczby rzemieślników we wzajemném pomaganiu sobie.

Otóż w roku 1862 trzydziestu jeden warszawskich stolarzy, właścicieli warsztatów, a nie mających własnych magazynów, zawiązali spółkę cywilną, celem ułatwienia przedaży własnych swoich wyrobów stolarskich i wzajemnego dla siebie kredytu. Od chwili też zawiązania spółki istnieje wystawa tychże wyrobów w dawnym pałacu hr. Łubieńskich przy ulicy Królewskiéj N. 1066 lit. K., gdzie w składzie dopełnia się sprzedaż i zamawianie mebli. Kassa tejże spółki udziela pożyczki czyli zaliczenia na wyroby stowarzyszonych dostarczone na wystawę, a niemniéj i wsparcia uczestnikom podupadłym lub rodzinom po nich pozostałym; a to na zasadach określonych umową. Dla urzeczywistnienia tych celów służy: 1^{od}) fundusz zakładowy, utworzony z wniosku każdego uczestnika płacącego rsr. 15 i części corocznych zysków spółkowych; — 2re) fundusz rezerwowy utworzony ze składek wnoszonych przy wstępowaniu do spółki po rsr. 1 kop. 80 przez każdego uczestnika. Fundusz zaś wsparć powstał z części corocznych zysków spółkowych, z kar i ze składowego; a Zarząd spółki wybierany przez Ogólne Zebranię uczestników, jest mocen wspierać tym funduszem potrzebujących, według własnego uznania. Zarząd ten zaciągać także może pożyczki na odpowiedzialność całego mienia spółkowego. Zyski dzielą się między uczestników co rok podczas Ogólnego Zebrania.

Spółka ta zawiązana na lat 10, może być przedłużona, po ich upływie na dalsze lat 10 i t. d. każdy jednak uczestnik mocen jest z niéj wystąpić, kiedy mu się podoba, przy dopełnieniu niektórych zobowiązań lub warunków. Od Zarządu spółki zależeć także będzie przyjmowanie nowych uczestników; wykluczanie zaś z niéj należy do Ogólnego Zebrania stale przypadającego raz w rok pod przewodnictwem Starszego Zarządu, lecz zwoływać się mogącego przez Zarząd w sposób nadzwyczajny na skutek żądania 20 uczestników. Na ogólnych zebraniach każdy z uczestników ma jeden głos. Każdy uczestnik ma prawo żądać, aby wyrób w jego warsztacie wykonany był na wystawę przyjętym, wprzód jednak 3 Biegłych wybieranych przez Ogólne Zebranie oceniają i sprawdzają ceny wyrobu oznaczoną przez właściciela do sprzedaży. W razie więc niedokładności wyrobu, złego materyału lub za wysokiéj ceny, biegli mogą uznać wyrób za nie mogący wejść na wystawę. Oznaczony przez biegłych szacunek wyrobu służy za podstawę do udzielania zaliczeń czyli pożyczek przez kassę spółkową. Każdy też wyrób przyjęty na wystawę jest ubezpieczony

od ognia. Wyrób zaś sprzedawanym jest przez Zarząd za gotowiznę po cenie przez właściciela oznaczonéj. Wnosi się także komissowe od sprzedaży na utrzymanie składu. Składowego opłaca każdy majster za swe wystawione wyroby po ćwierć grosza od złotego tygodniowo.

Zarząd spółki zajmujący się interessami tejże, składa się ze Starszego i 6 Członków przez Ogólne Zebranie na lat 2 wybieralnych. Zarząd przyjmuje i opłaca kosztem spółki Gospodarza, i Officyalistów w razie potrzeby. Gospodarz magazynu kaucyonowany, odpowiada za całość wyrobów na sprzedaż oddanych; trudni się ich sprzedażą, a zebraną gotówkę wnosi każdodziennie do kassy spółkowéj. Nadmienia się jeszcze, że jeśliby biegli uznali możność poprawienia wykrytych niedokładności w odrzuconéj robocie; to właściciel wyrobu po usunięciu ich mocen jest swe wyroby na nowo wystawić. Odrzucane także są wyroby nieodpowiadające potrzebom tutejszéj publiczności, lub takie, na które właściciel zbyt wygórowaną cenę nałoży, chyba, że właściciel cenę obniży.

W składzie utrzymuje się oddzielna księga, w któréj zaciągane są skutki czynności biegłych. Gospodarz magazynu upoważniony jest do przyjmowania obstalunków, za zniesieniem się ze Starszym Zarządu, które to obstalunki rozdzielane są kolejno pomiędzy majstrów.

Wszelkie spory spółkowe rozstrzygają ostatecznym wyrokiem tylko sędziowie polubowni.

Stan spółki z każdym rokiem się polepsza; dziś liczy ona już w swém kole 55 zjednoczonych stolarzy; wyroby zaś, znajdujące się obecnie w składzie, wynoszą wartość około 40,000 rubli.

Drobniejsze szczegóły Spółki pomijamy tutaj, a to dla szczupłości miejsca w Piśmie; mogą one być przejrzane na miejscu w akcie spółkowym przed rejentem spisanym, jeśliby osoby z innego fachu podobną spółkę chcieli zawrzéć i życzyliby sobie bliżéj poznać się z gotowemi już warunkami. Sądzić należy, że podobne Stowarzyszenia zawsze na postęp w pracy wpływ dobry wywrzeć muszą.

CHŁOP I ZAJĄC.

(Przypowiastka).

Dawnym czasem
Chłop przechodził na targ lasem;
Idzie, a wtém przy drożynie
Coś szarzeje mu w kotlinie...
Toć to zając, jak kocisko!
Więc na palcach podszedł blisko...
Śpi! choć oczy miał patrzące,
Jak to zwykle śpią zające.
—Czekaj, bratku!,—nad kotliną
Chłop poszepnął z śmieszną miną,
I wzniósł w górę kij dębowy:
—Toć to z ciebie targ gotowy!
Skórkę, mięso sprzedam w mieście,
Pieniądz oddam swéj niewieście;
Ona kupi łepskie prosię,
Wyżenie go na pokłosie;
Będzie dużo jadło, tyło,—
Jużci z niego wieprz, aż miło!
Cóż? na targu, wiém, co zrobię,
Sprzedam, klaczkę kupię sobie;
Śliczna-ż będzie, jabłkowita!
Héj! jak utnie mi z kopyta....
A wtém zając przebudzony
Jak nie skoczy przez zagony!
Przepadł.—Chłop się w głowę drapie.

Tak wychodzą wszystkie gapie!

J. Gr.

ZAGADKA:

Co to jest?

Siwy wół,
Wypił wody pełen dół.

Znaczenie poprzedniéj Zagadki: *Nida* i *Nidda.*

Redaktor i Wydawca **Józef Grajnert.**—w drukarni I. Krokoszyńskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.